didaskalia
gazeta teatralna

Z numeru: **Didaskalia 157/158**
Data wydania: czerwiec – sierpień 2020
Źródło: https://didaskalia.pl/pl/artykul/pieprze-system

/ kryzys systemu

Pieprzę system

Z Przemysławem Wojcieszkiem rozmawia Magda Piekarska

Pandemia zastała cię w Berlinie?

Tak, od miesiąca stąd się nie ruszam.

Jak wygląda dziś miasto?

Nijak, wszystko pozamykane, zupełnie jak w Polsce. Tyle że panika jest dużo mniejsza. Między innymi dlatego, że ludzie czują się tu bezpieczniej, przynajmniej w sensie ekonomicznym. Sporo z nich dostało pieniądze na życie, rząd wypłaca rozmaite zapomogi na czas epidemii. Takie wakacje się zrobiły, niespodziewane ferie podczas wiosny. Z domieszką rozsądnej presji, żeby się dyscyplinować, żeby to wszystko jak najszybciej się skończyło.

Berlin tobie również dał poczucie ekonomicznego bezpieczeństwa?

Tak, zostałem doładowany gotówką, co mnie bardzo cieszy. Zdaję sobie sprawę z tego, że w porównaniu z artystami freelancerami pracującymi w Polsce znalazłem się w uprzywilejowanej sytuacji. Oni w większości nie mają na co liczyć. A ja bez problemu skorzystałem z berlińskiego programu pomocowego, który obejmuje również artystów. Wystarczyło, że wypełniłem wniosek online, co zajęło mi może dziesięć minut – wpisałem numer mojego polskiego dowodu osobistego, numer konta, adres, zaznaczyłem odpowiednią kratkę z informacją, że w związku z epidemią straciłem zlecenia. Następnego dnia miałem już pieniądze na koncie, pięć tysięcy euro jednorazowej zapomogi, która pozwoli mi spokojnie przetrwać do wakacji. Tyle daje miasto Berlin, bo w Niemczech każdy land ma własne środki na programy pomocowe. Mieszkam tu od roku, wydawało mi się, że wystarczająco dobrze znam realia, ale mimo wszystko byłem zaskoczony tym, jak szybko i sprawnie mój wniosek został rozpatrzony, tym bardziej że w kolejce oczekujących było dwadzieścia tysięcy osób.

Artyści, którzy mieszkają w Polsce, mogą ci pozazdrościć.

Taka zapomoga to przede wszystkim duża ulga – nie muszę dorabiać pracując fizycznie, mogę skupić się na pisaniu. Bardzo mnie to ratuje, ponieważ od listopada, odkąd postanowiłem skoncentrować się na teatrze, nie pracuję już nigdzie na stałe. 25 kwietnia miała odbyć się berlińska premiera *Amazon Burns* z tekstem Mai Staśko, dziś ten termin jest oczywiście nierealny. Trudno cokolwiek planować – jeśli sytuacja się zmieni i instytucje kultury zaczną znów działać, zaczniemy się umawiać na kolejną datę. We Wrocławiu pokazy *Amazon…* przeniesiono z połowy maja na listopad. Tak naprawdę, wszyscy stoimy przed wielką niewiadomą, instytucje kultury zostały zamknięte bezterminowo i nikt nie wie, co będzie dalej. Sądzę

jednak, że skoro Czesi od 4 czerwca dopuszczają możliwość organizacji imprez z pięćdziesięcioma osobami na widowni, to w okolicach tego terminu wznowienie prób stanie się możliwe, a wszystko wróci do normy mniej więcej we wrześniu-październiku. Chciałbym jednak wiedzieć, na czym stoję. Ale zdaję sobie sprawę z tego, że kultura nigdzie w tym momencie nie jest priorytetem, więc mogę się tylko cieszyć, że znalazłem się w gronie nielicznych twórców, którym decydenci postanowili pomóc.

W jakim momencie zastała cię pandemia?

Nasz Teatr Polski w Berlinie miał za sobą pierwszą premierę.
Moją *Swietłanę* pokazaliśmy w berlińskim Klubie Nieudaczników, a potem we wrocławskim Ośrodku Kultury i Sztuki. W momencie wybuchu epidemii byliśmy tuż przed rozpoczęciem prób do *Amazon Burns* – dogadaliśmy się ze świetnym miejscem na mapie Berlina, Kulturmarkthalle, które bardzo przypomina mi, nieistniejącą już, legnicką Scenę na Piekarach, gdzie przed laty wystawiłem mój pierwszy spektakl, *Made in Poland*. Kulturmarkthalle prowadzi kilka stowarzyszeń zajmujących się teatrem – dołączyliśmy właśnie do tego grona. Nie zdążyłem jednak rozpocząć prób, choć wszystko było gotowe. W drugim tygodniu marca pojawiły się pierwsze obostrzenia, zamknięto granice. Całe życie teatralne uległo zawieszeniu. Przy zakazie zgromadzeń powyżej dwóch osób nie można myśleć o pracy nad spektaklem. Stoimy w blokach startowych – dostaliśmy wsparcie na produkcję z Ośrodka Kultury i Sztuki we Wrocławiu, umowy są przygotowane, czekamy na zielone światło.

To znaczy, że nie jeździsz już po Berlinie Uberem, jak bohater *Swietłany,* ani nie wozisz przesyłek dla Amazona?

Skończyłem z tym już w ubiegłym roku, kiedy pod koniec grudnia zabrałem się za reżyserię *Swietłany*. Od tamtej pory udaje mi się jakoś prześlizgiwać bez konieczności sięgania po tak zwane *shit jobs*. Wróciłem do klasy próżniaczej – jestem pieprzonym artystą na chwilowym bezrobociu, niezasłużonym i niezamierzonym. Nie mogę jednak narzekać, bo w Berlinie na pewno łatwiej jest przeżyć niż w Polsce. Moja sytuacja nie jest zła. Gdybym siedział w Polsce, byłoby gorzej, może nawet byłoby już po mnie, w tym sensie, że musiałbym zapomnieć o teatrze i żebrać o pracę przy serialach. Dziękuję, postoję: wolę w razie konieczności być w Berlinie kurierem na pół etatu i w ten sposób zapewnić sobie godną egzystencję, może bez fajerwerków, ale i bez artystycznych kompromisów. Teraz szczęśliwie, dzięki mecenatowi władz Berlina, nie muszę ruszać się z domu.

Teatr Polski w Berlinie powstał po to, żeby opowiadać Niemcom Polskę?

Cóż, jestem już za stary, żeby zostać dobrym Niemcem, nie do końca interesuje mnie też marzenie o tym, żeby stać się częścią berlińskiej bohemy. Chcę raczej działać pomiędzy, na granicy między Niemcami a Polską. Dopóki granica była otwarta, co weekend jeździłem do Wrocławia. Miałem poczucie, że zaczynam robić coś interesującego, działać na osi między dwoma miastami. I że tym swoim skromnym, offowym teatrem próbuję wypełnić rodzaj wyrwy, jaka powstała po zamrożeniu artystycznej wymiany między dwoma narodami. Z perspektywy Berlina widać wyraźnie, że problemem naszej kultury jest jej hermetyczność, dlatego warto działać na zewnątrz,

rozbijając tę skorupę. Wokół tej idei udało mi się już zebrać grupę ludzi, którym chce się w nią włożyć sporo bezinteresownej – biorąc pod uwagę nasze stawki – pracy. To jest tym bardziej cenne, że po pięciu latach rządów Prawa i Sprawiedliwości kontakty kulturalne między Polską a Niemcami są mocno ograniczone, właściwie cała ta współpraca opiera się na inicjatywie ze strony Niemców, polskie instytucje przestały się w nią angażować, mam wręcz wrażenie, że działają raczej na szkodę tych kontaktów niż pomagają.

Problemem jest przebić się z taką ofertą, mając do dyspozycji naprawdę skromne środki, promować z sukcesem kulturę sąsiedniego kraju. Żeby to się naprawdę udało, potrzeba wysiłku wielu osób i sporych funduszy. Tymczasem, jeśli cokolwiek się dzieje, są to skromne, w większości prywatne inicjatywy. To katastrofa – w dodatku nic nie wskazuje na to, żeby cokolwiek miało się zmienić na korzyść. Nasz rząd nie buduje żadnej marki, ma w nosie wizerunek Polski. I kompletnie zapomina, że mimo wszystko kultura jest gałęzią gospodarki, że generuje jakiś przychód, mimo że tych wartości, jakie z sobą niesie, nie da się ściśle przeliczyć na złotówki.

Kiedy więc pokazuję Niemcom *Swietłanę*, muszę mieć świadomość, że dla nich jest to opowieść o nieznanej, egzotycznej rzeczywistości. Że ludzi w Berlinie, którzy mają świadomość specyfiki sytuacji w Polsce, jest zaledwie garstka. Że z perspektywy większości Polska to dziwny, zamknięty kraj, którego nie są specjalnie ciekawi. Mimo tej bariery, a może, paradoksalnie, dzięki niej, działamy niszowo, skromnie, traktując ją jak wyzwanie. Dlatego liczę na to, że jak najszybciej wrócimy do pracy.

A jeśli idzie o linię programową – to, co tutaj robimy, jest przedłużeniem mojej wcześniejszej pracy we wrocławskim Teatrze Muzycznym Capitol,

gdzie wyreżyserowałem *Strefę* z tekstem Adriana Hyrsza, a Paweł Palcat – *Czystkę* z moim tekstem.

Czyli robisz społecznie zaangażowany teatr?

Tak, staram się jednak traktować szerzej związane z nim tematy. Mam nadzieję, że uda nam się zrestartować Polski w Berlinie jesienią. Zamysł jest taki, żeby prowadzić tę działalność dwutorowo, prezentując spektakle w Berlinie i we Wrocławiu. To się już sprawdziło ze *Swietłaną*. Teraz przed nami komediowy, mocny *Amazon…*. Chciałbym pokazać w Berlinie niemiecką wersję *Wkurwionych kobiet w leju po Polsce*, spektaklu, który po prezentacji na Przeglądzie Piosenki Aktorskiej wszedł do repertuaru Capitolu.

Masz stałe finansowanie na swój Polski?

Nie – i dlatego prowadzenie go wydaje się karkołomne, bo produkcja i eksploatacja spektaklu przecież sporo kosztuje. A ja nie mam stałej dotacji, do tej pory udawało mi się funkcjonować dzięki życzliwości wrocławskiego OKiS-u. Wraz z grupą przyjaciół założyliśmy stowarzyszenie, żeby móc się ubiegać o pieniądze także w Niemczech. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Jak Berlin przyjął *Swietłanę*?

Niestety, zagraliśmy tu ten spektakl zaledwie kilka razy, mieliśmy z nim wrócić na scenę na początku maja, co – jak wiadomo – nie dojdzie do skutku. Mamy w planach kilka wyjazdów festiwalowych w wakacje, mam nadzieję, że

to przynajmniej się uda, boję się jednak, że ta przerwa w graniu potrwa do jesieni. Odbiór pierwszych pokazów był pozytywny, choć sam spektakl musiał być wyzwaniem – godzinny monolog aktora, mówiony po polsku, z niemieckim tekstem podawanym w napisach. Zauważyłem, że dla Niemców najważniejszy był kontekst kryzysu demokracji, wszystkie te pytania, jak to, co się wydarzyło w Polsce, może przełożyć się na realia w ich kraju, dotykając ich osobiście. W Polsce odbierano *Swietłanę* bardziej emocjonalnie – jako opowieść o tym, co widzów najbardziej dotyka, o destrukcji inteligencji, jaka się dokonuje na naszych oczach, o pauperyzacji artystów, o rozbiciu środowisk twórczych, poczuciu, że nagle, z dnia na dzień, staliśmy się zbędni, nieważni, a to, co robimy, okazało się niepotrzebne.

W Polsce *Swietłanę* doceniła kapituła Gdyńskiej Nagrody Dramaturgicznej – to twój pierwszy tekst, który znalazł się w jej finale.

Cóż, nie mam wpływu na to, jak został odebrany. Mam też ograniczone zaufanie do werdyktów rozmaitych jurorskich składów. Ale dla mnie to też jest ważny tekst. Kiedy wracam do niego po kilkumiesięcznej przerwie, wciąż wydaje mi się istotny i potrzebny, bo jest zapisem pewnej ważnej sytuacji, szczerym świadectwem skłaniającym do dyskusji.

Co to za sytuacja?

Kryzysu, jaki dopadł nasze elity artystyczne i intelektualne. Którego ja również stałem się ofiarą, jednak nie skupiam się tu wyłącznie na sobie. Próbowałem ten stan uchwycić od kilku lat, ciekawe, że udało mi się dopiero

po wyjeździe do Berlina. Mam wrażenie, że tak zadziałała zmiana perspektywy. W Polsce wciąż myślałem o doraźnych sprawach, w dodatku, jak wszyscy, byłem zalewany ogromną ilością informacyjnego szumu, śmieci, fake newsów. Próby złapania dystansu zawodziły, bo na ten informacyjny śmietnik trzeba było reagować na bieżąco, walczyć z sytuacją, w której ktoś narzuca nam pewną narrację. Musiałem wyjść na zewnątrz, ustawić się poza nawiasem, żeby ten dystans złapać. Nie traktuję wyjazdu do Berlina jak emigracji, za krótko mój pobyt tutaj trwa. Ale na pewno, także poprzez rodzaj zajęć, jakich tu się na początku imałem, Berlin pozwolił mi na wyjście ze środowiska, ustawienie się na zewnątrz, porzucenie uwikłań. To wszystko okazało się odświeżające. Taka zmiana perspektywy czyści myślenie, pozwala w sposób świeży i pogłębiony przeanalizować własny los, zobaczyć własną sytuację w szerszym kontekście. Dlatego pierwszy tekst, jaki tu napisałem, dotyczy spraw polskich. Drugi, *Fuck the system!*, który wciąż jeszcze szlifuję, opowiada już o tym, czego tutaj doświadczam, co widzę wokół siebie – polski kontekst staje się tu nieistotny. Zresztą, jak już się uda do pewnego stopnia go porzucić, wyjść poza, dostrzega się, że ważne są zupełnie inne sprawy.

Czyli jakie?

Przede wszystkim to, że Europa się rozpada, że Polska odpada, odpływa od tej wspólnoty. Wiem, że z polskiej perspektywy może nam się wydawać, że nic się nie zmieniło i wciąż jesteśmy częścią Unii, ale nasz wizerunek na zewnątrz jest zupełnie inny – stąd, z perspektywy Berlina, widać kraj, który na własne życzenie odcina się wspólnotowych idei. Nie bierzemy udziału w życiu unijnym, nastawiamy się na konfrontację, konflikt, polskie postawy są kompletnie niezrozumiałe. Niestety, mamy złą prasę i ona nie bierze się z przypadku – cała seria działań politycznych prowadzi nas krok po kroku do

separacji. Dlatego to wymuszone przez pandemię zamknięcie granic może się dla nas, Polaków, okazać katastrofalne w skutkach, bo wstrzymuje coś, co jest nam bardziej potrzebne niż komukolwiek innemu w Europie – przepływ myśli, wymianę idei, otwarcie. Z daleka widać też, jak bardzo konserwatywne mamy społeczeństwo, i jak jest podatne na manipulacje. Łatwiej niż Niemców jest zalać nas fejkiem, zastraszyć.

Spotykam w Berlinie Polaków i widzę, kto tutaj się przenosi. Mam świadomość, jak wielki błąd popełnia władza, pozbywając się swoich obywateli. Nie chodzi tu o mnie, bo kim ja jestem? Reżyserem, dramaturgiem, scenarzystą bez ciśnienia na karierę – gdybym je miał, siedziałbym nie w Berlinie, ale w Warszawie. Ważne jest, kogo tu spotykam, jaka jest ta nowa fala polskich emigrantów w Berlinie. To są ludzie bardzo dobrze wykształceni, inteligentni, sporo jest wśród nich osób homoseksualnych, którzy nie widzą siebie w dzisiejszej Polsce. I to jest bardzo smutne, że nasz kraj pozbywa się ich świadomie, z premedytacją, nie rozumiejąc, że zabiera sam sobie w ten sposób szansę na rozwój.

Przy czym, mówiąc o rozwoju, nie mam na myśli przede wszystkim pieniędzy, stanu posiadania, a raczej otwarcie na świadomość obywatelską, na wartości demokratyczne. Pandemia pokazuje to wszystko jak w soczewce – w Polsce zwija się z tej okazji swobody demokratyczne i większość obywateli poddaje się tym decyzjom rządu. Tu każda decyzja jest mocno dyskutowana.

Przesadzasz: my też dyskutujemy, podpisujemy petycje. Tak było, na przykład, kiedy rząd zakazał nam wstępu do lasu.

Tak, tyle że tu każde obostrzenie jest przedmiotem podobnej dyskusji. I nie

ma wojska na ulicach, nie ma potrzeby pilnowania obywatela na każdym kroku, skoro ostatecznie co do tych decyzji panuje powszechna zgoda. Z dzisiejszej perspektywy istotne jest pytanie o to, jaki świat nastanie po pandemii. Moje prognozy są pesymistyczne, mam wrażenie, że wolności będzie raczej mniej niż więcej. Że skoro daliśmy władzy wolną rękę, jeśli chodzi np. o zdobywanie informacji o tym, gdzie jesteśmy i z kim się spotykamy, to ona z tej furtki tak łatwo nie zrezygnuje; kiedy ustanie zagrożenie, instrumenty inwigilacji zostaną zachowane. W Niemczech dyskusje o tym, czy rządzący powinni mieć dostęp do oprogramowania pozwalającego śledzić obywateli, są bardzo mocne. Tymczasem w Polsce, mam wrażenie, władza autorytarna robi, co chce i nie ma ruchu społecznego, który egzekwowałby jakikolwiek umiar w tej kwestii.

Wiele przewartościowań dokonuje się jednak ponad granicami – Amazon, w którym sam pracowałem i o którym robię spektakl, przed wybuchem epidemii był korporacją o jednoznacznie negatywnym wizerunku. Mówiło się o tym, jak wykorzystuje pracowników, punktowało się jej nieetyczne działania, to, że nie płaci podatków i że jako monopolista ma niszczący wpływ na handel online. Teraz pozycja Amazona jeszcze się umocniła, przez to, że zmienił się społeczny odbiór korporacji, która w czasie epidemii zapewnia klientom stały kontakt ze światem, przywożąc wszystko to, co jest potrzebne do przetrwania kwarantanny. Nagle okazało się, że ta sama firma, która budziła jeszcze niedawno tak negatywne emocje, jest dziś niemal jednoznacznie dobrze postrzegana przez społeczeństwo. I jestem przekonany, że tego nowego wymiaru władzy nie pozwoli sobie odebrać.

Nowa sytuacja wprowadza nowe prawa i zwyczaje. Bez wątpienia jesteśmy gdzieś u progu nadchodzącego nowego świata, choć wątpię, żeby miał

okazać się wspaniały. Okazuje się, że jesteśmy w stanie zrezygnować z wolności, byleby nasze poczucie bezpieczeństwa pozostało nienaruszone. Dlatego tak ważne jest, w jakim państwie żyjemy – czy w z grubsza demokratycznym, gdzie władza jest na każdym kroku sprawdzana przez media i obywateli, czy w Polsce, gdzie Kaczyński i ludzie, którzy złapali się jego rękawów, robią, co chcą, są nietykalni. W sytuacjach kryzysowych widać jakość państwa, rządzenia, także – jakość społeczeństwa obywatelskiego.

W *Swietłanę* w wyraźniejszy sposób, niż w swoje poprzednie teksty dramatyczne, wpisujesz samego siebie. Ten osobisty ton w zderzeniu z kwestiami społecznymi i politycznymi daje nową jakość.

Z osobistymi wątkami w twórczości wiąże się pewne ryzyko, można powiedzieć: coś, co będzie pozbawione znaczenia, nie będzie ważne. Można się na takiej perspektywie przejechać, dlatego rzadko po nią sięgam. A chociaż nie przepadam za autotematycznymi historiami w mojej twórczości, uznałem, że akurat tutaj moje indywidualne doświadczenie dobrze klei się z sytuacją większej grupy. *Swietłaną* opowiadam też o sytuacji ludzi robiących kulturę w Polsce, konkretniej: we Wrocławiu, o destrukcji tamtejszej inteligencji. Jak patrzę na to, co się stało z kulturą w moim mieście, zwłaszcza z Teatrem Polskim, widzę totalne zniszczenie pewnego świata. Może jestem odrobinę niesprawiedliwy, ale patrzę przecież na tę sytuację z dystansu i trudno mi coś innego dostrzec. I jest to spojrzenie bez sentymentów – jestem przecież okrutny wobec mojego bohatera, który jest przedstawicielem tamtego świata, nie użalam się nad sobą. Ale jednocześnie mam poczucie, że ten mikrokosmos kulturalny, z którego wyrosłem, uległ totalnemu zniszczeniu. Wpisuję w ten tekst swoje doświadczenie uczestnika i obserwatora tego procesu rozkładu.

Wraca w tym tekście Jarosław Kaczyński, który pojawił się wcześniej w *Hymnie narodowym*. Czy jego postać niesie z sobą tak wielki dramaturgiczny i teatralny potencjał, czy chodzi raczej o twoje osobiste mierzenie się z demonami?

Radykalizm i rozmach polityki Jarosława Kaczyńskiego był dla nas w jesienią 2015 roku sporym zaskoczeniem. *Hymn narodowy* razem z Emilką Piech napisaliśmy w pośpiechu, stąd, być może, obecność w spektaklu całej tej prawicowej menażerii, którą przedstawiliśmy w kabaretowym ujęciu. Naszym głównym celem było wtedy zrozumieć, co dzieje się w Polsce, jak doszło do tej zmiany i jakie będą jej konsekwencje. Stąd groteskowa wiwisekcja każdego z przedstawionych w spektaklu polityków, w tym Kaczyńskiego, który stoi na czele tej grupy. W *Swietłanie* potrzebowałem spowiednika, który wysłucha patetycznych, ale i bardzo gorzkich wyznań głównego bohatera. Potrzebowałem postaci, która dodałaby tej spowiedzi trochę kolorytu komediowego – i Jarosław po raz kolejny okazał się nieoceniony. Chociaż jego udział to tym razem zaledwie drobny zabieg formalny. Dla kondycji głównego bohatera nie ma on większego znaczenia.

A kontekst emigracji? Trudno, spotykając się ze *Swietłaną*, nie zderzać tego tekstu z innymi literackimi świadectwami dotyczącymi tego tematu.

No tak, ale jednak dziś, pomijając pandemię, granice są otwarte, można przed Polską uciekać i do niej wracać w dowolnym rytmie. I to jest ogromna różnica jakościowa. Pomijając kryteria ekonomiczne, jeśli zakładasz, że

chcesz kontynuować to, czym się zajmowałaś we Wrocławiu, równie dobrze możesz wyjechać do Wałbrzycha czy do Legnicy. I chyba równie szybko jak w Legnicy, w Berlinie zbudowałem sobie krąg znajomych, współpracowników, własny mikroświat. Dziś nie ma w tym nic egzotycznego, dziwnego.

Jasne, jest szereg relacji emigracyjnych w polskiej kulturze, po które sięgam ostatnio, ale najczęściej odkrywam przy okazji, jak bardzo są nieadekwatne do mojego doświadczenia. Dla mnie najważniejsza jest zmiana perspektywy – uwielbiam Wrocław, tęsknię za tym miastem, żałuję, że ostatnio nie mogę wpadać tu na weekendy, ale o powrocie na stałe myślę niechętnie, bo nie chciałbym rezygnować ze spojrzenia z zewnątrz, z dystansu.

Jednocześnie, odkąd wyjechałem z Polski, odkrywam, że dobrze mi się czyta polskich twórców emigracyjnych, że szukam rodzaju pokrewieństwa z nimi, najczęściej go zresztą nie znajdując. Zdarzają się jednak olśnienia – jednym z nich jest Mariusz Wilk, na którego trafiłem trochę przypadkowo, a dziś na półce mam wszystkie jego książki. Podoba mi się jego spojrzenie na Rosję – udało mu się zrzucić z siebie właściwie niemal cały balast kulturowy, co sprawia, że jest tak pilnym, otwartym i uważnym obserwatorem obcej rzeczywistości. Chciałbym także zrzucić ten bagaż, uzyskać czystość spojrzenia. Wiem, że nie uda mi się tego dokonać całkowicie, zawsze przecież będę myślał po polsku, ale staram się zdjąć jak najwięcej przyzwyczajeń i przesądów, co pozwoliłoby mi spojrzeć na rzeczywistość w sposób nieuprzedzony, odkryć te same rzeczy na świeżo. Na razie dostrzegam wiele podobieństw, dotyczących ogólnoświatowych mechanizmów – kapitalizm pochłania coraz większe przestrzenie państw, korporacyjność w czasie kryzysu opiera się na identycznych strukturach. Ta nowa perspektywa pozwala jednak też dostrzec ewidentne wady w mojej

ojczyźnie – z jej niepokojącymi tendencjami do zamykania się, separowania od wspólnoty. Ubolewam nad tym, bo za takie ruchy zapłacą kolejne dwa-trzy pokolenia Polaków, zmuszone do życia w kraju odizolowanym od reszty świata z powodu wyborów swoich dziadków.

Nie planujesz przenoszenia działalności teatralnej do sieci? W Polsce trudno znaleźć teatr, który by tego nie robił. I ten proces ruszył, zanim pojawił się konkurs ogłoszony przez ministra kultury.

W Niemczech też tak jest, ale przyznam, że nie widziałem w internecie teatralnych rzeczy, które byłyby naprawdę dobre. Wolę w sieci oglądać kino niż teatr. Może jestem na to za stary, ale dla mnie takie działania są w większości pozbawione sensu. Jeśli chodzi o rejestracje spektakli, mają one, owszem, wartość dokumentacyjną, ale w większości przypadków na tym się kończy. Niewiele instytucji może się pochwalić realizacjami na poziomie Teatru Telewizji, które można byłoby zaprezentować widowni bez wstydu.

Rozumiałbym, gdyby sytuacja z pandemią trwała pół roku, rok – wtedy internet stałby się koniecznym wyborem, jako jedyny kanał dystrybucji teatru. Ale jeśli mamy wrócić do pracy, a publiczność na widownię, w ciągu dwóch-trzech miesięcy, zwyczajnie szkoda czasu na coś, co najczęściej nie jest ani kinem, ani telewizją, ani teatrem, i oferuje widzom najgorszy produkt z pogranicza.

Bardzo ważną, dla mnie chyba najistotniejszą wartością, jaką niesie ze sobą teatr, jest wspólnotowość przeżycia. Widzowie i aktorzy, twórcy spektaklu – na godzinę, dwie wszyscy stajemy się grupą, wspólnie performującą coś, co jest dla nas wszystkich istotne. Dlatego to właśnie w teatrze możemy sobie

pozwolić na przekaz, który będzie dostosowany do poziomu dojrzałego widza. Nie lubię teoretyzować, ale ta obrzędowość teatru jest dla mnie bardzo istotna, jest w tym coś podniosłego. W teatrze stajemy się wszyscy świadkami misterium opowiadającego o nas, o naszym życiu, naszym losie. To misterium nie byłoby możliwe bez uczestniczenia w nim na żywo wraz z aktorem. Tego podstawowego doświadczenia teatralnego nie zastąpi internet. Jasne, w moich spektaklach zawsze ważna jest fabuła, opowieść, bohaterowie, ale kiedy spektakl się zaczyna w obecności widzów, najważniejsza jest właśnie ta wymiana energii, która jest nie do zastąpienia, coś nieuchwytnego, ale i mocnego, co wydarza się w sposób natychmiastowy i niepowtarzalny. Wydaje mi się niemożliwością wskrzesić tę energię w onlajnowych spektaklach. Nie ma cudów – w teatrze chodzi o to, żeby się spotkać, odebrać energię, przeżyć coś, co jest unikalne. Tak myślę tu i teraz, choć niewykluczone, że za rok, jeśli sytuacja się nie zmieni, będę się zastanawiał, jak przenieść ułamek tego misterium do sieci. Na szczęście, dla mnie sprawa jest prosta – jeżeli nie pracuję w teatrze, to piszę, nie mam potrzeby pokazywania się online.

Ale może ta obecność w sieci ma znaczenie dla potrzymania kontaktu z widzem? To o tyle ważne, że w teatrach pojawia się strach, czy publiczność do nich wróci nawet po złagodzeniu obostrzeń.

Tylko zastanów się, czy ten widz, który w połowie marca dowiedział się, że nie będzie kwietniowej premiery, nie ma teraz większych problemów poza tym, jak przeżyć trzy miesiące bez teatru? Nawet jeśli ten teatr leży mu na sercu najbardziej, to widzi przede wszystkim, że nie ma kasy na kulturę, a za chwilę będzie jej jeszcze mniej. Że rozpieprzono Teatr Polski we Wrocławiu, że po kwarantannie i tak tam nie wróci, bo jest tak gówniany – to jest jego

problem jako widza, ale może jest tak, że przez pandemię stracił pracę i nie ma z czego żyć, więc teatr chwilowo wypada z jego orbity. Ale zakładając, że nie, to widzi przede wszystkim, że kultura jest niedofinansowana, w dużej mierze zarządzana przez urzędników-idiotów, że jest upolityczniona, że w momentach kryzysu stanowi pierwsze źródło oszczędności. I to jest najważniejsze – a nie to, czy będziemy teraz pokazywać teatr online. Gdyby jeszcze finansowanie kultury było na takim poziomie jak w Niemczech, moglibyśmy zaprezentować wszystkie profesjonalnie zrealizowane spektakle najlepszych teatrów. A tak, możemy się powygłupiać przed kamerką.

Jaki będzie *Amazon Burns*?

Jestem ciekaw tej realizacji i bardzo żałuję, że nie udało nam się rozpocząć prób przed pandemią. Po *Wkurwionych* i *Strefie* to kolejny cudzy tekst, do jakiego się zabieram. *Amazon…* to drugi tekst Mai Staśko, i wydaje mi się dużo lepszy, ciekawszy od *Wkurwionych* – Maja napisała komedię o dwóch dziewczynach, które pracują w Amazonie i razem spędzają przerwy na papierosie. Palą, przeglądają Tindera, a w tle dochodzi do apokalipsy, świat umiera na naszych oczach.

Brzmi aktualnie.

Tak, tyle że ta zapaść w tekście nie jest konkretnie nazwana, do końca wyjaśniona. W każdym razie pojawia się napięcie między komediowym prowadzeniem postaci a grozą sytuacji, w jakiej się znalazły, niewolniczą pracą za grosze w czasie apokalipsy. Znalazłem do tego spektaklu trzy świetne aktorki, z którymi zbliżałbym się teraz do premiery, gdyby nie

pandemia – jedna z nich zagra po niemiecku, druga po polsku, trzecia jest dwujęzyczna, więc pojawi się w obu obsadach. Jest między nimi fajna chemia.

Teatr Polski w Berlinie ma być autorskim teatrem Przemka Wojcieszka? Czy bierzesz pod uwagę współpracę z innymi reżyserami?

Mój pomysł na Teatr Polski w Berlinie polega na dwutorowej prezentacji spektakli, dla widowni polskiej i niemieckiej. I tylko taki pomysł na niezależny teatr mnie interesuje. Będę go realizował, dopóki znajdą się mechanizmy wsparcia, za pomocą których będę mógł to robić. W tej chwili to teatr, nie kino interesuje mnie najbardziej – bo jest jedynym, być może ostatnim rodzajem sztuki, który pozwala komunikować się z dojrzałym widzem, bez konieczności infantylizowania przekazu, fajnym, żywym, nośnym narzędziem komunikacji z inteligentnym odbiorcą.

Polski w Berlinie ma otwartą formułę. W tej chwili zaprosiłem do współpracy parę dramaturgów. Oprócz Mai, Kubę Kiragę, który napisał świetny *Euroexit. Księgę Wyjścia*. Zaczynam od dramaturgów, bo oni są najbardziej poszkodowani w zachowawczym teatrze, który boi się mierzenia z rzeczywistością. A te dwa teksty są po prostu świetne, wciągające i zabawne, opowiadające o Europie i kapitalizmie odważnie i bez kompleksów. Jeśli chodzi o reżyserów, jest to dla mnie całkowicie drugorzędne. Nie muszę reżyserować. Z przyjemnością zajmę się stroną administracyjną mojego teatru. Rola reżysera jest zresztą mocno przeceniana. Grunt to dramat.

Jaki więc system pieprzysz w *Fuck the System!*?

Ten tekst to monodram dla aktorki w wieku 70+. Bohaterką jest starsza pani, która ma w swoim mieszkaniu punkt dystrybucji paczek Amazona. Sytuacja jak z życia, spotykałem się z takimi osobami na co dzień, zajmując się dystrybucją – kurierzy byli dociskani przez szefostwo, żeby dostarczać skutecznie przesyłki, a ponieważ często pod wskazanym adresem nikogo nie było, pukało się do sąsiadów. Tak trafiałem na starsze panie, emerytki – za plecami wielu z nich piętrzyły się stosy paczek z Amazona. I właśnie jedna z nich jest bohaterką monodramu, w którym opowiada o swoim życiu. Taka nie do końca śmieszna komedia o kapitalizmie. Pracuję nad tym tekstem, w dziewięćdziesięciu procentach jest już skończony.

Wracasz tu do punktu wyjścia, do Bogusia z debiutanckiego *Made in Poland*, który wytatuował sobie na czole „fuck off"? Teraz starsza pani mówi światu: „fuck"?

A dlaczego nie? Kto wie, może to emeryci są dziś najbardziej radykalni. W końcu, co mają do stracenia? I tak, pani Arndt z *Fuck The System!* to rzeczywiście Boguś, ale sześćdziesiąt lat później.

Ma tatuaż?

Nie, chociaż może powinna. Muszę to przemyśleć. Nie ma też bejsbola, za to sporą biblioteczkę z książkami Noama Chomsky'ego, więc jest jakiś postęp. Tak naprawdę wszystkie moje teksty traktują o tym samym: o jednostce buntującej się przeciwko normom. I to jest nie do przewalczenia. W zasadzie

nie interesuje mnie nic innego. Teraz próbuję pisać pastisz, wariację na temat tekstów Bogusława Schaeffera, zabawny i nieoczywisty spektakl na trzy aktorki. Czysta zabawa w teatr, w której polityka, sprawy społeczne, obyczajowe brane są w cudzysłów, rozpuszczają się w absurdalnym humorze. Ale kończy się i tak na tym, że moje bohaterki też gadają o rewolucji. Więc jest to pewna stała.

Nieznośne w dzisiejszej Polsce jest dla mnie to, jak wielka część tego społeczeństwa zgięła kark przed autorytarną władzą i dobrowolnie zrezygnowała ze swojej wolności. Nie potrafię się z tym pogodzić, dlatego wyjechałem. Chcę żyć w społeczeństwie świadomych obywateli, opartym na solidarności i wzajemnej empatii. To jest dla mnie na dziś program rewolucyjny, bo tej wizji próbują dziś przeciwdziałać bardzo różne siły: od populistów po wielki kapitał.

Autor/ka

Źródło: *https://didaskalia.pl/artykul/pieprze-system*